

Nr. 6. Lwów 11. Czerwca 1870 r. Rok I.

GRÓB BOŻYCY.

Przez

MILORADA POPOWICIA.

Z serbskiego tłumaczył W. Kozłowski.

Ręczę, że wy nie wiecie, co to jest *szmugawac*. Gdyby go nawet przed wami postawiono i wtedy jeszcze niewiedzielibyście, że to jest właśnie *szmugawac*. A gdybyście się nim tak, jak ja żywili, tobyście go i po zapachu poznać mogli. Każdym razem, jak skoro powróciliśmy z pola a głodni szukali, czemby się posilić, a nic znaleść nie mogli, zapytywała nas matka:

— Dzieci, czy jesteście głodni?

— Jesteśmy, matko.

— Chcecie bym wam zrobiła *szmugawca?*

— Chcemy — w jeden głos zawołamy. I o to za chwilę wynoszą nam całą miskę rozrobionego chleba we wrzącej wodzie, którą uprzednio zaprawiono solą i omastą. I to właśnie jest ów sławny *szmugawac*.



DZIEJOPISARZE POLSCY: JOACHIM LELEWEL.

Lecz mniejsza o jedzenie, nie obchodzi ono mię tyle, co was. Najadłem się, że palcem dostaniesz, więc głodny nie jestem. Ale przypomniała mi się moja nieboszczka matka i smutno mi, że nie wiem, gdzie jest grób jej, ażebym mógł go oblać*). Zginęła jednoczeście z ojcem popem, Oboje udali się na jarmark, a nakupiwszy różnych rzeczy, wracali do domu. Tymczasem nadciągnęły chmury i puściła się straszliwa ulewa. Kiedy byli na środku rzeki, przez którą przeprawiali się, naraz wezbrała woda i wywróciła czółno. Wszyscy poszli na dno, jak kamień. Zaniosła ich powódź Bóg jeden wie dokąd. Jakoś do dziś dnia nic nie wiem, gdzie moja nieszczęśliwa matka znalazła grób dla siebie. Starego kowala znaleziono w piasku — a inni zginęli, jak gdyby w ziemię zapadli się. Czy ich gdzie zaniosła Morawa**) — Bóg to nie jeden

*) Wylewa się wino na grób.
**) Największa rzeka w Serbji,

Przypomniała mi się także i babka moja— a i jak jej nie wspomnąć? Wszystko, co widzicie, ona mi dała. Ze wszystkich mych braci mnie kochała ona najbardziej. Byłem jej pieszczochem. Sypiałem nawet przy niej. Bezemnie i do cerkwi nie chodziła. Spokój jej duszy na tamtym świecie! Bóg ją niezawodnie w raju osadził.

Od niej nauczyłem się opowiadać.

Wiatr dmie od gór, że aż drzewa gną się. Wciągamy kożuszki — zimno. Nazajutrz wstajemy: aż tu trawa całkiem biała, liście opadają z drzewa, na wodzie kora szklanna. Posiniały nam ręce, poczerwieniały nosy. „To zima, dzieci!“ — zawoła babka, a my co prędzej do chaty, ta za piec gorący. My siedzimy na tapczanie, a babka na łóżku. Ona przędzie wełnę, a my szepczemy między sobą. Nadchodzi noc, zniosą ze strychu pęk wełny, rozczesujemy ją do pół nocy. Wtedy dadzą nam jabłek, chleba, garść orzechów i suchych śliwek.

Szczęśliwe to były owe wieczory zimowe! Szalony wiatr wygrywa na strychu, huczy i wyje w kominie, że aż strach bierze. Ogień się pali, rzucając światło na izbę, patrzymy się nań i mrużymy oczy. Zaczynamy poziewać, a nogi same wyciągają się.

— Drzemiecie, dzieci?

— Nie, nie drzemiemy.

— Chcecie, żeby wam babka co opowiadała?

— Chcemy, chcemy, babko.

Więc opowiada nam ona rzeczy śmieszne i straszne. Słuchamy, słuchamy — i pospiemy się, a przebudziwszy się nazajutrz, zdaje się nam, że snem było całe to opowiadanie.

Co to nam pewnego razu opowiadała, Boże mój!

Było to na Śty Jerzy. Ojciec z matką poszli do wuja Jewty na *sławę*[1]), a my z babką zostaliśmy w domu. Czas był pochmurny i zmrok zapadł wcześnie. Skupiliśmy się w izbie kolo babki.

— Zgadnij, Dziole! — zwaliśmy tak naszego stryjecznego brata: — szkoła pełna żaków[2]), a drzwi w niej nie masz — co to jest?

— Tykwa z siemieniem.

— A co to jest, Miciaciu? — tak mnie zwali: — padnie deska na morze, ani się deska rozbije, ani się morze rozleje.

Milczymy, ani jeden z nas odgadnąć nie może. Nacieramy czoło, drapiemy się w głowę — nic niepomaga. Co powiemy — to nie tak.

— He, głupia dziatwo! nigdy odgadnąć nie potraficie. Gdyby noc trzy razy była dłuższą i gdybyście tak do samej zorzy przesiedzieli, i wtedy jeszcze byście nie odgadnęli. Ale, poczekajcie, będę wam opowiadała.

Wlepiamy w nią oczy i milczymy, jak muchy.

— Znacie wy, dzieci, ową chatę starą nad potokiem?

— Tę, kolo naszego młyna? — znamy.

— To była chata nieboszczyka mojego ojca, oby Bóg zmiłował się nad jego duszą! Z owej chaty przybyłam tu do waszego dziada. Był on młodzieńcem znanym powszechnie. Wysoki, silnie zbudowany, szeroki w plecach, rumiany, jak dereń. Wąsy i włosy jak smoła, takie były czarne. A szyja wysoka, pełna zdrowia. Co dzisiejsza młodzież! Litość bierze patrząc na nią...

A miał dzielnego konika. Mały, ale dobrego chowu. Choćbyś nim jechał od rana do południa — nie zmęczy ci się. Zawsze pierwszy w biegu, nikomu nie pozwoli się wyprzedzić. Czy przez wodę, czy po suchem — to dla niego wszystko jedno. Przepłynąć *Jbar* albo *Morawę*, to dla niego, jak przejść przez równinę. Jego *dorat* (gniadosz) znanym był nawet wojewodom. Dawali mu sto dukatów za niego, nie chciał się z nim rozłączyć. I zdechłby był u nas, gdyby go byli nie ukradli przeklęte cygany. Uciekli z nim za rzekę *Drynę* i sprzedali go *Zwornickiemu paszy*[1]).

Nosił on czerwony *binisz*[2]), podbity szarem futerkiem i brzegami obszyty żółtym lisem. Na głowie nosił kołpak z pióropuszem, na piersiach *jelek* (kamizelka) aksamitny, wyszywany śrebrem i złotem. Biodra opasywał mu pas zielony z kręconego jedwabiu, a za pasem pistolety oprawne w śrebro. Między niemi *handżar*[3]) z twardej stali. Pochwa jego ukuta ze śrebra i wysadzana koralami, między któremi były tak wielkie, jak ziarnka fasoli. U bioder jedwabne sznury, a na sznurach szabla damascenka. Krzywa była, jak księżyc na niebie. Cudowne było jego odzienie. Ot, stara jestem, a ile razy go sobie przypomnę, to mi serce żywiej bić zaczyna. Był to junak[4]), jakich mało. Cały ten strój przyniósł sobie z boju. Piechoto i w koszuli udał się do Dywli, a powrócił stamtąd przystrojony, jak sokoł. Spójrzę na torbę —pełna, otwieram — oczy mi olsnęły: setka nożyków w srebrnych pochewkach, wysadzane pistolety i pasy różnego koloru. U łęku zaś od siodła wisi *sinija*[5]) miedziana.

— A to skąd? — zapytuję zdziwiona.

— Czego się dziwisz żono. Wytłukliśmy Turków do nogi, paszę zapędziliśmy w burzany... gdybyś go była widziała!... Ową *siniję* miedzianą zabrałem u kucharza paszy. Zamieś no nam *pytę*[6]), będziemy jeść z naczynia paszy.

[1]) Uroczystość patrona rodziny. Każda familija ma swego patrona. Prawo obchodzenia uroczystości sławy przechodzi dziedzictwem z ojca na najstarszego syna.
[2]) Uczeń, żak — po serbsku *dziak*.

[1]) Zwornik, forteca w Bosnji nad rzeką Dryna.
[2]) Wierzchnie ubranie, rodzaj płaszcza małego.
[3]) Handżar — nóż długi.
[4]) Junak — rycerz.
[5]) Naczynie kuchenne.
[6]) Gatunek ciastka z migdałami i rodzenkami

Eh, eh!.. świetne to były czasy wtedy. Ożyły góry i lasy. Strzały i pieśnie rozlegały się na wszystkie strony. Od małego do wielkiego, wszyscy się zerwali na nogi, by wyprzeć wrażego Turczyna z jego siedlisk przywłaszczonych. Na bój szło się jak na odpust. Starcy nawet dzwignęli się. Jak gdyby bies w nich wlazł jaki, wsiedli na koń i ruszyli do wojewodów. I nie było lepszych nad nich junaków. Wtedy właśnie wasz pradziad zginął bohatersko. Rąbał Turków, jak trawę, i wielu ich na tamten świat posłał. Pięknie pomścił swą głowę osiwiałą. Teraz jest w niebie pod opieką Boga. Spokój jemu i jego duszy!...

Co do waszego dziada, tego kula ani dotknęła się. Miał wprawdzie siedem ran, ale od szabli i żadna z nich nie była śmiertelną. Pierwszym był on na polu bitwy i ostatnim z niego schodził. Był on i za *Sawą*[1]). Kiedy szańce zostały zburzone i Turcy poczęli się cisnąć tłumem, rzucił się wśród nich. Rąbał i bił się, jak wilk, a gdy klęska nastąpiła i nasi uledz musieli, wymknął się Turkom z rąk i skoczył za Sawę. Tam przesiedział w wodzie po uszy aż do wieczora. Dzięki niech będą Bogu i zielsku, którego było dosyć na jeziorze! Inaczej byliby mu łeb ucieli.

Właśnie tego samego wieczora wszyscy w domu ułożyli się już byli do snu, ja jedna tylko byłam jeszcze na nogach. Modliłam się do Boga. Łuczywo dopalając się migotało. Na dworze było strasznie ciemno. Wiatr dął zlekka. Pies leżał pod strzechą. Było cicho, jak w pieczarze. Naraz słyszę jakby stąpanie jakieś, zdaje mi się, że ktoś chodzi po dziedzińcu. Powstrzymuję oddech, żeby lepiej słyszeć. Teraz słyszę, że z lekka fórtkę ktoś otworzył i znów przymknął. Pies szczeknął kilka razy — i znowu cicho. Patrzę w okno, nic nie widać. Ciemno, jak w lochu. Chciałam już odchodzić od okna, gdy w tem... co to jest?... Coś białego przebiegło przez dziedziniec i skryło się między śliwy. Otwieram szerzej oczy, patrzę, patrzę.... nic nie widać, choć oko wykol. Ciemność i nic więcej... Idę... spać.

Przed samym wschodem słyszę ktoś puka do drzwi. Zerwę się, odrzucę kołdrę:

— Kto tam?

— Ja.

— Czego chcesz?

— Otworz mi.

— Ale cóż tak rano, przyjdź jak rozednieje.

— Przeziębłam cała, dreszcz mię przejmuje, zimno mi strasznie.

— Skądże przychodzisz?

— Ja sama nie wiem. Wpuść mnie do izby, nałóż ognia, bym się mogła ogrzać. Proszę cię w imię Boga.

[1]) Rzeka oddzielająca Serbję od Austrji.

Odchyłam zaszczepkę, otwieram drzwi, a gdy weszła, znów je przymykam. Była to dziewczyna tak piękna, jakiej dotąd nie widziałam jeszcze. Biała jak śnieg, oczy błękitne, jak niebo w czasie pogody, włosy czarne, a gęste, jak las. Ręce białe, jak kreda, palcy cienkie a przezroczyste jak gdyby mlekiem nasane, wysoka jak sosna, a cienka jak jodła. Gdy stąpa, aż patrzeć na nią miło. Oczu nie możesz od niej oderwać, tak była czarującą.

Miała na sobie cienką, długą do samej ziemi suknię. Biała, jedwabna materja, jakiej niewidziałam jeszcze, obwijała jej ramiona.

(Dokon. nastąpi.)

KARTKI Z PAMIĘTNIKA
Z CZASOW OSTATNIEGO POWSTANIA.

(Ciąg dalszy.)

Noc była ciemna, śnieżna i wietrzna. Od śniegu tylko, którego grube pokłady leżały, rozpoznawać było można przedmioty. Drogi nie wiedzieliśmy, kierunek straciliśmy prędko. Idąc polem nie sposób było trafić, potrzeba było szukać drogi, ale tu leżało niebezpieczeństwo bo mieliśmy do przebycia komorę *Szyce*, że zaś okolica żadnemu z nas nie była znajomą z tąd każda wieś, do której zbliżaliśmy się była dla nas *Szycami* i nie było gdzie powziąść języka. Wędrując tak dwa razy przeszliśmy granicę napowrót. Dwa razy dowiedziawszy się o tem musieliśmy zawracać. Długa noc styczniowa sprzyjała naszemu błądzeniu.

Odważyliśmy się nareszcie wejść do wsi, ale wnet ujrzeliśmy wszystkie oznaki komory, nudziło nas jednak kręcenie się w kółko i postanowiliśmy bądź co bądź powziąść języka. Zbliżyliśmy się do jednej chaty, zaglądnęliśmy przez okno i ujrzeliśmy w kąciku obrazek a przed nim lampę gorejącą, to nas upewniło że mieszkańcami muszą być prawosławni, a więc kozacy. Poszliśmy dalej, ale już drogą. Następna wieś znowu wydala sie nam *Szycami*. Samo chlewy, stajnie, śnieg wydratowany, siano rozrzucone, i t. d. Minęliśmy wieś i poszliśmy dalej. Następna wieś znowu miała wiele oznak, jak gdyby była stanicą kozacką, z błędu tego wyprowadził nas kościołek, on też nas zaprowadził do plebanji, gdzie postanowiliśmy dowiedzieć się dokąd idziemy?

Długo musieliśmy się dobijać i nie chciano nas wpuścić. Jakaś kobiecina prowadziła z nami rozmowę i otworzyć nie chciała, pomimo iż kategorycznie oświadczyliśmy że chcemy ogrzać się, jeść, pić i przewodnika i że zanim nasze żądania nie zostaną zaspokojone nie odejdziemy,

Wytrzymawszy nas dobre pół godziny przede drzwiami, gdy coraz natarczywiej dobijaliśmy się i zabieraliśmy się już drzwi wylamywać, poszła obudzić księdza. Ksiądz kazał drzwi otworzyć, co prawda jeść nam nie dał tylko po kieliszku wódki i po kawałku chleba, ale przewodnika dał oświadczywszy iż jesteśmy w pobliżu doliny *ojcowskiej*.

Przewodnik podprowadził nas wiorst ze dwie, wskazał dolinę i zapewniwszy że już jedna droga aż do obozu opuścił nas. Spuszczaliśmy się tedy w dolinę. Noc była ciemna, ale drogę mogliśmy rozeznawać. Wkrótce też zawołano: „Stój! kto idzie?“ Były to ostatnie pikiety. Pikietnicy nie wiedzieli dobrze co mają z nami robić, ale żeśmy mieli ze sobą wódkę, którą poczęstowaliśmy zziębniętych kolegów, udało się nam jakoś wyperswedować żeby nas puścili po prostu i nic więcej, bośmy bardzo zmęczeni będąc już ze 12 godzin w podróży. Tak się też i stało. A w dobre pół godziny spuszczając się ciągle w dolinę zostaliśmy wstrzymani przez drugie pikiety.

Powoli poczynało szarzeć, a przy drodze tu i ówdzie napotkaliśmy już domki, niby przedmieścia *Ojcowa*. Dzień był dobry gdyśmy się zbliżali do obozu i trzecie pikiety nas powitały najserdeczniej odprowadzając do hotelu, w którym zamieszkiwał sztab i gdzie były główne koszary.

Na pierwsze przyjęcie, nie pytając o nic więcej odebrano od nas broń i wpuszczono nas do obszernej izby, w której leżała słoma, a na słomie kilku powstańców odpoczywało. I my też nie widzieliśmy nic dla siebie pilniejszego jak tylko rzucić się na słomę i oddać się w objęcia Morfeuszowi. Smutno nam było, że odebrano od nas broń, sprawiło to najprzykrzejsze wrażenie, które jednak rozwiało się ze snem.

Gdyśmy się po krótkiej drzymce obudzili, pierwszą rzeczą było upomnieć się o broń. Nie wiem już jak tam udało się moim kolegom, ale co ja to swój rewolwer odebrałem, pałasz mi był niepotrzebny.

Zwiedziłem okolice, a jakkolwiek zima twardą ręką trzyma skostniałą naturę, jakkolwiek drzewa ogołocone z najpiękniejszej swej ozdoby liści, jakkolwiek śniegi pokryły wszystko, z pod których tylko czarne ściany skał wyglądały, i tylko iglaste drzewa ciemną zielenią swoją barwiły okolicę — to i wśród zimy i obumarcia całej natury, *Ojców* jest jedną z najpiękniejszych okolic w świecie.

Środkiem obszernej doliny wije się wartkim pędem niby wstęga *Prądnik*, po nad nim u stóp góry wznosi się na pagórku stary zamek odległej sięgający starożytności, obok którego kilka nowych budynków dla wygody szukającym zdrowia i wypoczynku po trudach, między niemi pierwsze zajmuje miejsce dwupiętrowy duży hotel. Dalej po nad - Prądnikiem rozsiane grupy zabudowań gospodarczych, pomieszkania wieśniaków ojcowskich. Po jednej i drugiej stronie doliny wznoszą się prostopadle niebotyczne skały, miejscami na małych pochyłościach porosłe drzewami. Tam gdzieś wznosi się skała niby wieża, a jakkolwiek nie ma z żadnej strony przystępu do jej wierzchołka, to jakby na urągowisko niemocy człowiek tam postawił krzyż, altanę, lub coś innego.

Mniej mię natura zajmowała podówczas i nie miałem czasu przyglądania się jej pięknościom, a do tego nie mam wprawnego pióra abym potrafił czytelnikowi odsłonić choć w miniaturze piękność okolicy, to tylko z pewnością za innymi pisarzami powtórzyć mogę, że w Polsce nie ma tak uroczej okolicy jak *Ojcow*, a komu środki pozwalają, niech się tam uda i to na wiosnę.

Pierwsze dnie w obozie spędziłem z największą rozkoszą. Bo co to jest z pod jarzma przejść na swobodę. Wolno myśleć, wolno mówić! Marzenia całego życia urzeczywistniają się. Ojczyzna! Niech żyje Ojczyzna! niech żyje Wolność! śmierć wrogom! te pragnienia które człowiek kryć musiał w najskrytszych tajnikach serca, teraz stały się hasłem narodu, teraz wzięliśmy za broń i oko w oko stanęliśmy przeciw nieprzyjacielowi — sumienie doznaje największej rozkoszy, że się poszło spełnić obowiązek najświętszy. Taka chwila tylko raz się w życiu zdarza, takiego szczęścia nie każdy dostąpić może. Jakże go wypowiedzieć. Ale któż z nas co od stu lat walczymy za wolność, takiego szczęścia w życiu swem nie skosztował?!

Byłem szczęśliwy, oddychałem swobodnie całemi piersiami i oczekiwałem tylko walki. O gdyby prędzej tego Moskala spotkać i bodaj zginąć byle się pomścić za tyle krzywd Ojczyźnie wyrządzonych, byle tej Ojczyźnie zapewnić życie wolne i niepodległe.

Życie obozowe dla człowieka nie przywykłego do niewygód ma swoje nieprzyjemności, które się głównie czuć dają przy spoczynku, *zimno* i *mokro*, są to dwie nieprzyjemności, z któremi zaledwie po kilku dniach można się oswoić, zresztą wszystko dobre — jadło każde jest potrawą najwymyślniejszą; po trudach wszystko jest specjałem. Jest ruch, życie, i w ogóle jeżeli są w obozie nieprzyjemności to te nikną, bo duch człowieka podnosi się do najwyższego nastroju i panuje zupełnie nad ciałem.

Największą nieprzyjemnością w obozie powstańczym jest to jeżeli naczelnik jest glupi, to już przykrość niepokonana, bo rozporządzeń słuchać trzeba, a człowiekowi myślącemu bardzo jest trudnem przełamywać się i uginać się do rozporządzeń głupich, staje więc sam w sobie w sprzeczności i sumienie musi walczyć z rozumem, a walka taka jest trudną i przykrą.

Do takich rzeczy zaliczyć muszę naprzód zakaz strzelania do celu, jaki był powszechnym w powstaniu. Tu potrzeba było uczyć się strze-

lać, bo niejeden jak ja naprzykład nigdy w życiu nie strzelał i szedł do bitwy nie wiedząc jak się z bronią obchodzić. Bardzo mało było wypadków takich w których dla ostrożności niej wiedzieli o naszym obozie, zakaz ten był ściśle przestrzegany.

Zaraz po przybyciu zapisano mię do strzelców, a że należałem do tak zwanej po galicyjsku



KOSCIOŁ P. MARJI W POZNANIU.

przed nieprzyjacielem, nie można było strzelać. U nas w Ojcowie gdzie pikiety stały na milę rozstawione, gdzie konne patrole o cztery mile odbywały rekonesanse, gdzie Moskale najdokładniej

inteligencji, a mój porucznik do niej nie należał bo pisać i czytać nie umiał, awansowałem na drugi dzień na porucznika, a mój porucznik został szeregowym.

Próżno się wzbraniałem, bo dowodzący kampanją (ze szkoły genueńskiej) miał rację. Nie długo jednak cieszyłem się tą nominacją. Potrzebowano *inteligencji* do kosynierów i tam mię przeniesiono, z nadzieją że mogę szybko awansować, bo kosynierów było około tysiąca a wszystko nie inteligencja, a nawet i oficerowie, ale że właśnie mój najbliższy zwierzchnik niejaki *Braun* choć niby *inteligencja,* ale mi się wydawał wielkim cymbałem i osłem, więc obawiając się przykrych następstw zdegradowałem się na szeregowca i przeszedłem do *Zuawów,* których tworzył ekspolicjant francuzki *Rochebrun* mianowany majorem.

Obóz ojcowski w czasie dwutygodniowego mego tam pobytu wzrósł do liczby poważnej przeszło 2,000 ludzi. Z tych połowa było kosynierów uzbrojonych w kosy, pod dowództwem *Cybulskiego,* rodem z Litwy, (ze szkoły genueńskiej) *) kawalerji było 360 głów uzbrojonych w piki i po części w broń palną rozmaitego gatunku i rodzaju. Dowodził *Lipczyński,* naczelnik miasta Krakowa. Strzelców było przeszło 600, uzbrojonych oczewiście w broń palną, najrozmaitszą a po większej części mało wartą, gdyż ława krakowska o broni nie myślała, ona myślala jakąby wynaleźć broń aby powstanie cofnąć. Dowodził strzelcami *Niewiadomski,* student krak. uniw. uprzednio przez lat kilkanaście po niewoli żołnierz austrjacki. I nakoniec *Rochebrun,* ekspolicjant (szpicel) francuzki, sprowadzony przez któregoś pana na guwernera do Galicji, dowodził Zuawami, których tworzył z wyboru młodzieży i liczba ich doszła 170. Wszyscy ci dowódzcy mieli stopnie majorów. Pułkownikiem był *Dobrski,* pełniący obowiązki komendanta, a głównodowodzącym był niejaki *Kurowski* niby jenerał. Miał to być bardzo zacny obywatel, nawet dobry konspirator, ale na rzeczy wojskowej tyle się rozumiał co i ja postępując do obozu. Było nie mało zdolnych oficerów, ale tym dano bardzo podrzędne stanowisko.

W obozie porządek był nie zły, a to dzięki majorom którzy sumiennie spełniali przyjęte obowiązki. Lecz przed wszystkimi *Rochebrun* znakomicie się popisywał. Musiał kiedyś służyć wojskowo, bo znał musztrę i w tej nas ćwiczył doskonale, nie dawał ani spać ani jeść a w ciągu 10 dni zrobił z nas żołnierzy.

Nie będę tu opisywał czego i jak nas uczył Rochebrun. Podam tylko fakt następujący. Było nas zuawów jeszcze tylko 80, staliśmy w *Skale,* (pierwsza wieś za Ojcowem), gdy dano znać że Moskale idą na Skałę w liczbie 900. Wiadomość była mylna, Moskale z całym obozem przeszło 2,000 wyruszyli z Miechowa na Ojców, którego my stanowiliśmy awangardę. Dowiedziawszy się o tem Rochebrun wyprawił gońca do Ojcowa żądając pomocy, a w tej chwili siła obozu ojcowskiego wynosiła niespełna 1000 ludzi, sam zaś o godzinie 8. z rana otrzymawszy tę wiadomość wyprowadził nas w pole, przed nami był las może o wiorstę. Stanęliśmy między lasem a *Skałą* i odbywaliśmy manewra. Prawdopodobnie Moskale już byli w lesie i widzieli nasze manewra, chwila była niebezpieczna, ale Rechebrun w części ufając, że już jesteśmy dobrymi żołnierzami, w części awanturując się wodził nas po polu z godzinę, rozwinął w jeden szereg i tym szeregiem manewrował w rozmaite strony. Wszystko szło najdoskonalej bośmy się pilnowali, oczekując lada chwila ataku, a byliśmy pewni, że żaden z nas przy życiu nie zostanie, ale drogo każemy opłacić nasze życie. Wprowadził nas następnie w wąwoz, który był cały śniegiem przykryty i zrównany z ziemią. Tam rozstawił w tyraljery, każdemu zaś kazał wykopać w śniegu jamę i tam się skryć obserwując las. Dalej w instrukcji było aby oczekiwać na atak, który zrobi kawalerja, aby nie strzelać aż wtenczas gdy napastujący będzie o kroków 10, a kto jeszcze nie będzie pewny strzału to niech bliżej przypuści. Wystrzeliwszy cofnąć się na drugą stronę wąwozu i gdy Moskal z koniem ugrzęźnie w wąwozie kluć go bagnetem i czekać rozkazu do cofania się do Skały, która była za nami o kilka set kroków.

O dziesiątej przyniesiono nam wódki i chleba gdyż byliśmy na czczo. Zjadłszy ten specjalik czekaliśmy dalej. O 12. ujrzeliśmy że wzgórza zajmuje nasza kawalerja, a widać że plan Rochebruna podobał się naczelnikowi bo stosownie do jego kombinacji przyszli kosyniery i stanęli za nami. Gdy tak nasze wojsko wystąpiło w pole i my ożyliśmy, już nie śmierci ale zwycięztwa byliśmy pewni. Trzeba tu jeszcze dodać, że dnia tego była zawierucha i wiatr wiał w stronę lasu co nam nie robiło żadnej dystrakcji, gdyż w tę samą stronę byliśmy zwróceni, ale Moskałom byłoby nieprzyjemnie zbliżać się do nas.

Oni też tego i nie zrobili. Dla czego nie zrobili nie umiem powiedzieć ale zdaje się że im zaimponował Rochebrun porządkiem i odwaga. Moskale się cofnęli, tylko nasi tyraljerzy, (Włosi) którzy zapuścili się do lasu przyprowadzili nam jednego wielkiego Moskala, Moskale też zabrali nam jednego.

O piątej ściągnięto nas ze stanowiska, ale że zuawów za wszystkich odpowiadał, więc też głodnych posłano na widety, które zostały rozstawione na noc. Była to noc przykra. Zawierucha się wzmogła do wściekłości, o jeden krok nie można było nikogo rozpoznać i kilka wypadków śmierci i kalectwa z wzajemnego się strzelania naszych widet z podjazdami pozostało w upominku po tej nocy. (C. d. n.)

---

*) Trzeba oddać sprawiedliwość, że przed powstaniem jeden tylko *Mierosławski* co myślał o powstaniu na serjo i przez założenie szkoły w Genui, przygotował kilkudziesięciu myślących i rozumiejących rzecz dowódzców oddziałów, gdyby nie to chodzilibyśmy po polach i lasach jak trzody. *Przyp. Autora.*

Ksiądz Józef Dzierżon.

(Dokończenie.)

Co do pszczół roboczych wyłożył, że one są bezpłciowe, że one jedne tylko, bez udziału trutniów, zajmują się budowaniem plastrów woskowych, zbieraniem miodu i pyłku kwiatowego; że trutnie nie mają innego przeznaczenia, jak tylko obowiązki małżonków królowej-matki, żyją swobodnie, o nic się nie troszczą, nie pracują i przechodzą się tylko pomiędzy pracującemi pszczołami jako nieużyteczne towarzystwu próżniaki, albo, usiadłszy na plastry, spoczywają nieczynnie i zjadają zapasy, pracowicie przez pszczoły zebrane, czasem wylatując z ula dla zabawy; lecz za to życie pasożytne znajdują śmierć wszystkie bez wyjątku, albowiem na zimę przez pszczoły robocze bywają zabijane i trupy ich za ul wyrzucane.

Wszystkie te prawdy były inaczej albo wątpliwie przez pszczolarzy pojmowane; po długich jednak dyskusjach na rzeczonem posiedzeniu pszczolarzy i naturalistów w Brzegu uznane i następnie do nauki o życiu pszczół stanowczo wprowadzone zostały, z wyjątkiem jednej kwestji, to jest sposobu zapładniania matki przez trutniów.

Dzierżon więc dopiero w połowie odniósł tryumf zwycięzki.

Jego czynny i badawczy umysł w tym samym jeszcze roku skierowany został ku istotnemu przekonaniu o kwestji ciężarności matki. Traf zrządził, że dotykalne znalazł dowody na poparcie swego wyżej rzeczonego twierdzenia, zdobył bowiem okaz indywiduów odbywających akt, miał więc w ręku dowody zupełnego zwycięztwa swojej nowej teorji. Więcej jeszcze, — badanie nad tą kwestją wprowadziło go na ślad poszukiwań, których wynikiem było wynalezienie sposobu tworzenia stucznej matki, o jakiem wyżej wspomnieliśmy,

Ten wynalazek zupełny zrobił przewrot w całem gospodarstwie pszczolniczem.

Kto pojmuje, ile się zyskuje, jeżeli, gdy matka spadnie i rój osierocieje, wytworzymy mu zaraz i damy nową matkę; kto zna manipulacje, zaprowadzone w metodzie Dzierżona przez dzielenie rojów, wyprowadzenie nowych pokoleń z zarodowych plastrów i dawanie im matek; kto wreszcie umie ocenić udogodnienie w unikaniu naturalnego rojenia się pszczół, ten z łatwością oceni ważność dopiero rzeczonego odkrycia, wprowadzającego pszczolnictwo na nowe tory, nową drogę, otwierającą pochód do odkryć lub przynajmniej zastosowań i przekształceń w pszczolnictwie, pojmując takowe ze stanowiska ekonomicznego.

Długo wiedziono spory o ważność naukową tego wynalazku, lecz tym razem przyznać należy, że do walki wystąpili tylko sami teoretycy. Postrzeżenia Dzierżona co do zapładniania i tworzenia stucznej matki poparli: znakomity fizjolog i anatomista Karól Siebold, profesor uniwersytetu w Monachium, i Rudolf Leuckart z Giessen. Odtąd weszły one do wszystkich dzieł o naukach przyrodniczych i pszczolnictwie jako prawdy zasadnicze. Otrzymał więc Dzierżon wielkie i zupełne zwycięztwo i dla tego „Ojcem pszczolarzy“ nazwany został.

Ze swych odkryć Dzierżon nie robił tajemnic, ogłaszał je drukiem w osobnych rozprawach, w Rocznikach Towarzystwa Pszczolarskiego na Szląsku wydawanych, i w dziele znakomitej wartości pod tytułem: „Nowe udoskonalone pszczolnictwo,“ wszystkich w języku niemieckim napisanych.

Nie powiemy tego jednak, aby był bezinteresowny zupełnie. Kto czytał jego przedmowę do ostatnio dopiero wymienionego dzieła, zadziwił się zapewno z nami, że takową rozpoczął od wiadomości, iż ma takie a takie ule do sprzedania, po takich cenach.

Więcej jeszcze; Dzierżon, nabrawszy wziętości i sławy, dla miłego grosza poświęcił zasadę; widząc, że sprzedaż rojów dobrze mu się opłaca, lepiej niż miodu i wosku, skierował swoją metodę do wytwarzania rojów sposobem sztucznym; słowem, utworzył nową metodę rojną, której gdyby się wszyscy trzymali, mielibyśmy tylko pszczoły, a miodu i wosku zabrakłoby do zaspokojenia potrzeb ludzkich.

Z tego też a nie innego powodu ule jego pomysłu, u nas przynajmniej, mało są rozpowszechnione; zyskała na tem metoda miodna w ulach ramowych Hubera, przekształconych z zastosowaniem do klimatu północy przez ks. Jana Dolinowskiego, która się rozchodzi w praktycnem zastosowaniu coraz więcej po kraju, tem bardziej, że cała manipulacja dzierżonowska w ulach ramowych uskuteczniana z łatwością być może.

Dzierżon ma jeszcze znakomite zasługi w tem, że czynnym swoim przykładem, raz jako pszczolarz praktyczny, to znowu jako prezes i założyciel Towarzystwa Pszczolarzy na Szląsku, obudził ruch niezwykły i zainteresowanie się tą gałęzią wiedzy w najniższych nawet warstwach społeczeństwa. Jego osobiste wędrówki pszczolarskie po Prusach, Austrji i Królestwie Polskiem lub z jego zlecenia przez uczniów i zwolenników metody rojnej odbywane; jego wykłady teoretyczne z praktycznem zaraz zastosowaniem na tychże wędrówkach dokonywane przysporzyły wielu postępowych pszczolarzy, a światło wiedzy racjonalnej rzuciły nawet pod strzechy chat włościańskich.

Literatura nasza agronomiczna posiada wiele już-to tłumaczeń prac dzierżonowkich, drukiem ogłoszonych, już też dzieł, nawet oryginalnych metodę jego opisujących.

Pierwszy Witowski Hipolit ze Lwowa, za nim ś. p. Lompa Józef z Woźnik na Szląsku, dalej ś. p. Twarowski Ludwik z pod Warszawy, Żmudziński z Poznańskiego w broszurach i dziełach zaznajamiali publiczność polską z tą nową metodą, prace ich jednak, jako dokonywane bez znajomości praktycznej samej zasady pomysłów Dzierżona, raczej ze stanowiska dobrych chęci, aniżeli rzetelnego pożytku oceniane być mogą.

Rzecz inna zupełnie co do prac ś. p. Lubienieckiego Juljana: „Pasieka w ulach Dzierżona“ i „Nauka dla pasieczników;“ tu uczeń prześcignął mistrza, bo, jak sam Dzierżon przyznaje, prace założyciela

szkoły pszczolnictwa, w „Przemyślanach" w Galicji dawniej istniejącej, są dokładniejsze i lepiej rzecz wyczerpujące, niż dzieła niemieckie przez autora oryginalnie napisane.

Józef Znamirowski w dziele „Pszczolarz Polski," popularnie dla braci z ludu napisanem, przewyższył jeszcze Lubienieckiego pod względem jasności nauki pszczolnictwa w ogóle a metody dzierżonowskiej w szczególe. Jest to dzieło takiej doniosłości praktycznej, że zgodzić się musimy ze zdaniem jednego z krytyków miejscowych: iż książka ta dotąd nie ma równej sobie sposobem dobrze obmyślanego i świetnie, bo jasno i przystępnie dokonanego wykładu, tak że ją za ewangelją pszczolarską uważać można. Tak więc publiczność nasza ma sposobność dokładnego obznajomienia się z metodą Dzierżona i jego prawdziwie mistrzowskiemi pomysłami w dziedzinie wiedzy pszczolarskiej, zwłaszcza, jeżeli do tego dodamy jeszcze szkołę pasieczników w Alwernii pod Krakowem, wzorowo pomiędzy innemi prowadzone wedle tej metody gospodarstwa pszczolnicze w ogrodzie botanicznym w Warszawie przez Jerzego Aleksandrowicza, w Mokotowie przez Gustawa Gebetnera i w Trębkach pod Kutnem przez ks. proboszcza Wiktora.

(Gazeta Rolnicza.) *Mieczyński Adam.*

Mierzwienie drzew owocowych.

Najwięcej drzew owocowych stoi w ogrodach lub na polach, które się mierzwi, dla czego wielu się osobne mierzwienie drzew zdaje zbytecznem, doświadczenia atoli uczy, że mierzwienie drzew owocowych zmniejsza znacznie liczbę lat nieurodzaju i zarazem wywiera wpływ na doskonałe wykształcenie się owocu. Najlepszy skutek sprawiają odchody kloakowe z popiołem drzewnym, również i komposty; używać ich można w czasie od jesieni aż do wiosny, ku czemu się naokół młodych drzew robi brózdy tak daleko, jak okop sięga, naokół zaś starszych dołki, a potem takowe po nalaniu płynnej mierzwy znów zarzuca. Ilość mierzwy zależy od wieku drzew.

Sposób wytępienia robactwa.

W szalce porcelanowej rozczynia się 4 łyżki stołowe żytniej mąki z wodą, na ciasto luźne i o ile możności rzadkie, — tak prawie jak syrop. — W to ciasto wrzuca się 3 — 4 grany fosforu i rozciera się takowy przez 15 minut, a mianowicie póty, póki się nie da czuć solny, gryzący zapach fosforowy. Im dłużej się rozciera tem lepiej, — wystarcza jednakże na to 15 minut. Rozczyn ten smaruje się tedy na małe deszczułki, albo na kawałki szkła i kładzie się je wieczorem w miejsca, gdzie robactwo się gnieździ.

Trzeba naturalnie z tem ostrożnie się obchodzić bo to trucizna, ale jest zarazem bardzo skutecznem do wytępienia robactwa

---

POCIESZNE SONETY.

BAJKI. — KOT.

Szczwany od psa, na drzewo schronił się kocina
I, widząc się bezpiecznym, taką wyciął mowę
Do psa co usiadł przed pniem, w górę wzniosłszy głowę:
„Bracie psie! gniewu twego jaka jest przyczyna,

„Powiedz mi z łaski swojej?.. Czyż to moja wina
„Że złość twa wygryźć kotów chciałaby połowę?..
„Czyż kot zakłócił kiedy twe uczty polowe?..."
Tutaj, by psa rozczulić, kot płakać zaczyna...

W tem ptak co wracał z jadłem dla płodu młodego,
Zaledwie spostrzegł kota blizko gniazda swego,
Jął się z całych sił krzyczeć, drżąc o swe pisklęta.

Kot strachu, psa, morałów, zapomniał wszystkiego:
Podniósł łeb, zoczył gniazdo... i schrupał ptaszęta!..
Innym prawiąc morały, wieluż je pamięta?...

JAN KRZYWDA.

Listy z administracji.

— *Pan Stanisław J. w Leżajsku.* Pierwsze półrocze „Dzien. Liter." rozsyłamy tylko prenumeratorom *Mrówki*, którzy całoroczną lub półroczną prenumeratę wnieśli, w zamian za 2gi kwartał *Mrówki*; ponieważ pan do tej kategorji nie należy więc mu „Dz. lit." wysłać nie możemy.

— *Pan K. C. w Stanisławowie.* Prenumeratę otrzymaliśmy tylko na pół serji.

Z powodu zupełnego wyczerpania Nrów z pierwszego półrocza, Towarzysz prenumerowany być może tylko od 1 lipca do końca roku.

Towarzysz *nadal wychodzić będzie w tym samym kształcie jak dotąd co drugą sobotę. Przedpłata na drugie półrocze wynosi* **2 złr.** — *Prenumeratorowie* **Bibljoteki Mrówki** *płacą tylko* **1 złr.**

Życzący sobie prenumerować **Towarzysza** *proszeni są o wczesne nadsyłanie przedpłaty gdyż nakład ściśle do liczby prenumeratorów zastosowany być musi.*

Adres: *Do administracji Mrówki we Lwowie.*

Towarzysz wychodzi we Lwowie co drugą Sobotę.

Prenumerata do końca roku wynosi 2 złr. — $1^1/_2$ talara — 7 franków.

Stali Prenumeratorowie *Bibljoteki Mrówki* prenumerujący wprost w administracji Mrówki otrzymują *Towarzysza* bezpłatnie i dopłacają tylko 1 złr. — 10 sr. gr. — 3 franki do końca roku na koszta przesyłki i administracji.

Bibljoteka Mrówki wychodzi serjami, każda serja złożona ze 100 arkuszy druku kosztuje 4 złr. — 3 talary — 12 franków. Można prenumerować częściowo.

Przedpłatę na *Towarzysza* składa się jednorazowo. Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Przedpłata ćwierćroczna na illust. Czasopismo *Mrówkę* wraz z *Dzien. lit.* wynosi 2 złr. 70 c. — $1^1/_2$ tal. — $7^1/_2$ fr

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: August L. Skerl. **Z drukarni spółki „Dz. Lw." pod zarządem A. Skerla.**